

## „UCIEKAM OD ZOBOWIĄZAŃ”

(„Gentleman” nr 12, grudzień 2000)

*Malował śmierć od dawna. Umarłe krajobrazy, zniekształcone twarze, wykrzywione ciała. Smutek, pustkę, nicość. Wydawało się, że ten emanujący z obrazów tragizm nijak nie przystaje do uporządkowanego i statecznego życia Zdzisława Beksińskiego. Sam zawsze powtarzał, że temat nie ma znaczenia, że chodzi o fakturę, światło. A jednak w jakiś sposób te wizje wypełniły jego życie.*

*W ubiegłym roku, w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, odebrał sobie życie jego jedyne dziecko - Tomasz Beksiński – dziennikarz muzyczny, prezenter, tłumacz. Tragizm,*

*koszmar z obrazów zaistniał w życiu. Zdzisław Beksiński żartował, że wszyscy spodziewają się jego śmierci, dlatego tak wiele czasopism zabiega o wywiad z nim. Tymczasem zaskoczyła go śmierć okrutniejsza, którą musiał przeżyć.*

*Z artystą malarzem, specjalnie dla „Gentlemana”, rozmawia Dorota Macieja.*

**„Chciałbym malować ładne obrazy” – zwierzał się pan nieraz. Tymczasem o pana dziełach powiedziano wiele, jedni: interesujące, poruszające, wręcz bulwersujące, inni: kiczowate, ale „ładne”. To chyba niezbyt przystające określenie do tego co pan maluje.**

Większość chyba inaczej niż ja rozumie słowo „ładny”. Dla mnie ładny to dobrze namalowany obraz, a co na nim przedstawiono jest sprawą drugorzędną. Obraz, czyli kawałek płótna lub płyty pokryty farbami, nie jest świadectwem rzeczywistości, nie jest fotografią. Może być tylko dobrze albo źle zrobiony, a więc ładny albo brzydki. Może

istnieć paskudny bohomas przedstawiający piękną kobietę i przepiękny obraz, przedstawiający obdartego pijaka.

**Ale ładny to znaczy miły dla oka, budzący przyjemne uczucia...**

Nie dla mnie.

**Skoro temat nie ma znaczenia, to skąd tyle drastyczności, grozy, niepokoju w pana obrazach?**

One są drastyczne? Ja nic drastycznego nie widzę. Może inaczej wszystko odbieram. Może nie dostrzegam we własnych obrazach jakiejś sekretnej ich właściwości, która napęłnia niechęcią ludzi? Przypominam sobie, że w dzieciństwie z dezaprobatą oglądałem ilustracje do „Alicji w krainie czarów”. Były dla mnie jakieś odpychające, więc być może moje obrazy podobnie są odbierane przez publiczność, ale to nie jest

moim zamiarem. Nie wiem, na czym to polega, ale to przykre! To tak jakby śmierdziało mi z ust.

**A może maluje pan apokaliptyczne wizje, bo dopełniają one ustatkowane, spokojne życie, jakie pan prowadzi?**

Rzeczywiście, życie mam spokojne, ale nie sędzę, żeby obrazy – przynajmniej świadomie – były kompensacją życia. Maluję tak, jak się robi rysunek konferencyjny. Jak ktoś nie umie, bazgrze koty odwrócone tyłem, a ja maluję obraz – zresztą najczęściej twarz, którą czasami przerabiam na coś innego, na przykład na pejzaż. Zupełnie nie wiem, co namaluję i rzadko potrafię zaplanować, a jeszcze rzadziej udaje mi się dokończyć to, co zaplanowałem. Za szybko zaczyna mi się nudzić i od razu zmieniam to, co zacząłem na coś innego. Nawet jeśli bym sobie zrobił konkretny plan- namaluję człowieka idącego przez most, i tak wychodzi mi coś innego, na przykład arcybiskup siedzący na konarze drzewa. Oczywiście na pewno mógłbym trzymać się narzuconego tematu, ale nie widzę

celu, skoro przekaz treściowy jest dla mnie nieistotny. Nie miałem na celu namalowania człowieka przechodzącego przez most, moim celem było namalowanie obrazu! Obraz to dla mnie coś poza treścią, którą traktuję zawsze jak produkt uboczny. „Zobaczyć” to dla mnie coś sto razy ważniejszego od „zrozumieć”. „Zrozumieć” jest dla mnie raczej równoznaczne ze „spłyć” i „ograniczyć”. W ten sposób zresztą odbieram i filmy, i muzykę.

**Często pan podkreślał, że nie interesuje pana „wielki świat”. Czy był pan za granicą?**

Gdy wyjadę do Grójca lub Legionowa, doznaję takich uczuć jak astronauta, który wylądował na Księżycu i obawia się, czy silniki odpalą i zdoła wrócić na Ziemię. Lubię wprawdzie wyjść do miasta, ale wiem, że mam tam taksówki i telefon komórkowy, przez który mogę je wezwać. Jak wyjadę troszeczkę dalej, czuję się fatalnie, tak więc nie podróżuję, jeśli nie muszę. Nigdy za granicą nie byłem, oprócz czeskich Tatr, ale wtedy

miałem dwadzieścia lat, uprawiałem turystykę wysokogórską i zapewne nie raz, mimo woli, znalazłem się po drugiej stronie granicy

**Wtedy jeszcze nie miał pan tych lęków?**

Odpowiem inaczej: zawsze walczyłem o to, aby być człowiekiem wolnym, ale ta moja wolność realizuje się obecnie na dwóch metrach kwadratowych przed sztalugami, więc jest to klatka. Zamknąłem się w niej jednak dobrowolnie.

**A nie korciło pana, aby zobaczyć „swoją” galerię w Paryżu? Przez lata pana dzieła były sprzedawane tylko u Piotra Dmochowskiego. Nie chciał pan obejrzeć własnych obrazów w stolicy sztuki?**

Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Dmochowski wielokrotnie zapraszał mnie do Paryża. Oprócz zainteresowania wystawą, poddany byłem jednak działaniu drugiego,

silniejszego wektora: niechęci do podróży i związanego z nią napięcia. Poza tym cholernie obawiałem się, że będę – jak to się mówi – noszony na rękach, czego nie cierpię, będą mi pokazywać Paryż i to nie od tej strony, która by mnie interesowała, tylko od turystycznej, a ja powinienem to docenić i okazywać zachwyt. Jeśli pamiętam siebie z tamtego okresu, to jedyną rzeczą, która by mnie wtedy zainteresowała w Paryżu, byłyby specjalistyczne sklepy z płytami. W Polsce wtedy w ogóle nie było płyt CD i miałem na tym tle szmergla. Już wyobrażam sobie jak zdenerwowałbym Dmochowskiego, który najprawdopodobniej chciałby mi demonstrować repertuar turystyczny od Luwru po Lido, wwieźć mnie na wieżę Eiffla i tak dalej. Ale od samego początku miałem świadomość, że nie pasuję do sytuacji, że Dmochowski wystawiając moje malarstwo, chce wcisnąć Francuzom coś, co napełnia ich podobną odrazą jak mnie kuchnia śródziemnomorska. Pokazywanie się tam, a byłbym na pewno demonstrowany zainteresowanym jak utalentowana zielona małpa zza żelaznej kurtyny, było dla mnie nie do przyjęcia.

**Jaką rolę odgrywa marszand w życiu malarza? To raczej przyjaciel czy przeciwnik?**

Mogę mówić tylko o sobie. Przez pierwsze lata moja współpraca z Dmochowskim układała się poprawnie, ale potem czułem się coraz bardziej osaczony. Żyję na luzie, jestem dusza człowiek, ale jeśli widzę, że mam pracować dla kogoś, zamieniam się w sukinsyna. Ostatnio z mojej inicjatywy wypaliliśmy fajkę pokoju, ale nie podpisaliśmy następnego „aktu małżeńskiego”. Wszelkie związki działają na mnie fatalnie, skłaniają mnie do działań, na które nie mam ochoty. Czuję się jak na tylnym siodełku motocykla i jeżeli prowadzący ma nieco inne reakcje niż ja, zaczynam się denerwować.

**„Mógłbym żyć w dyktaturze, nie potrzebuję odbiorcy, najchętniej malowałbym do szuflady” – powiedział pan przed laty. Czy po dziesięciu latach wolności powtórzyłby pan te słowa?**

Jestem ciężkim wariatem i w zasadzie bawi mnie jedynie twórczość, więc pewnie mógłbym funkcjonować, może nie w Kampuczy Pol Pota, bo tam pozostałych przy życiu



zaganiano do roboty na polach. Ale w Niemczech hitlerowskich, czy nawet od biedy w Rosji Stalina jakoś bym się potrafił znaleźć. Z pamiętników twórców prześladowanych przez Stalina – na przykład Bułhakowa i innych, wynika, że oni jednak czekali na telefon od Słońca Narodów, pragnęli być na afiszu, chcieli zaistnieć i być potrzebni.

Ja nie mam żadnej potrzeby zaistnienia, mógłbym pracować jako urzędnik w sowchozie, a w ukryciu coś ścibolić.

**Czyli wolność, demokracja to wartości, na których panu nie zależy?**

Wręcz przeciwnie. Lubię świadomość, że w kiosku może leżeć obok siebie „Osservatore Romano”, „Playboy”, „Rycerz Niepokalanej”, „Hustler” i powiedzmy „Protokoły Mędrców Syjonu”, „Mein Kampf” czy cokolwiek innego. Niezależnie od tego, czy akceptuję te rzeczy czy nie, chciałbym, aby były dostępne. Jestem liberałem do szpiku kości i dlatego marzy mi się taka Agora, na której jest wszystko. Agora, na której istnieje

swoboda dyskusji, ale bez nienawiści, bo góruje melancholijna świadomość tego, że wszystko co człowiek zdolny jest wymyślić, jest raczej głupie i gówno warte, a już na pewno nie warte zabijania innych. Niestety, jest to pogląd całkowicie utopijny, jak na to wskazuje Kosowo, Sarajewo, Irlandia, Palestyna i inne mniej liberalne Agory od tej, którą sobie wymarzyłem. Czyż bym był panem Pickwickiem?

**Polityka nigdy pana nie intrygowała? Nawet wtedy, kiedy wiatr historii zaczął wiać przyjemnie?**

Przez jakiś czas interesowałem się polityką. Początkowo sympatyzowałem z liberałami, ale okazało się, że popiera ich 2,5 procenta ludności i nie było już liberałów tylko Unia Wolności. Ciągle nie widzę żadnej partii, którą bym mógł polubić. Ale prawdę mówiąc, nie bardzo mnie to interesuje. Nigdy nie wychodziłem na ulicę i nie wrzeszczałem, jestem po prostu obojętny. Nie podpisywałem też protestów ani petycji. Nie chodziłem na pielgrzymki. Najlepiej określiła to pewna nieprzychylna mi pani w Sanoku, przed wielu,

wielu laty, kiedy miano mi przydzielić jakieś stypendium. Jak mi później doniesiono, powiedziała zasięgającym o mnie informacji urzędnikom z Rzeszowa: „Pan Beksiński jest jednostką głęboko aspołeczną”. Dozgonnie jestem jej wdzięczny, sprawiła mi niechcący wielką frajdę. Bardzo mi się to spodobało, polubiłem siebie jako jednostkę „głęboko aspołeczną”. Z akcentem na „głęboko”.

**Nie bierze pan udziału także w życiu kulturalnym, nie bywa pan na wernisażach, nie wypowiada się w imieniu środowiska. Skąd w panu taka silna potrzeba samotności?**

Uciekam od zobowiązań. W gimnazjum byłem prezesem sejmiku szkolnego, później prezesem sądu koleżeńskiego, za każdym razem byłem na coś wybierany i w końcu ktoś mi objawił wielką i banalnie prostą prawdę, że wybierani bywają tylko ci, którzy przyjdą na zebranie. Wziąłem to sobie jako naukę na całe życie.

**Nie bywa też pan na przyjęciach, niewiele w panu z artysty w takim młodopolskim stylu. W wywiadach nie opowiada pan ani o uniesieniach miłosnych, ani o alkoholowych rautach. Nie zazdrości pan kolegom, którzy umiejętnie wpisali się w młodopolski styl życia – wino, kobiety, śpiew.**

Ależ to takie wyobrażenie o artystach trochę rodem z serialu telewizyjnego i sentymentalnych powieści dla pań. Moimi świętymi byli Franz Kafka i Vincent van Goch. Dopóki żyli, nie byli znani i ja też sobie w młodości zaplanowałem taki żywot: będę żył na poddaszu w nędzy, umrę młodo, najlepiej na gruźlicę (ale jak tego dokonać w epoce antybiotyków?) i zostanę odkryty dopiero po śmierci, a ludzkość oniemieje i padnie na kolana! Prawie nic mi z tych moich planów nie wyszło, ale wewnątrz pozostałem taki, jaki byłem. Przykro mi, że nie wpisuję się w stereotyp z Harlekina: „artyści, modelki, absynt” i nie mogę służyć raportem z alkowy. Jest za to raport z pustelni.

## **Czy samotność można polubić?**

Ja nie polubiłem.

## **Jaka była rola przypadku w „odkryciu” pana twórczości?**

Wylansował mnie Janusz Bogucki, a zetknąłem się z nim przypadkowo, po jakiejś wystawie fotograficznej. Zainteresował się moimi pracami, zorganizował mi wystawę w Krakowie z okazji kongresu AICA, a później robił moje wystawy w Warszawie. Gdyby nie on, pewnie do końca życia siedziałbym w Sanoku i robił swoje.

## **Nie jest pan przebojową osobą...**

Taki jestem od urodzenia, byłem bardzo nieśmiałym dzieckiem. Przez pewien czas ojciec usiłował zrobić ze mnie człowieka przebojowego, nawet to kupiłem i bardzo się starałem,

ale też cholernie się przy tym męczyłem. No i w którymś momencie, w kilka lat po śmierci ojca, powiedziałem sobie: „Beksiński, do cholery, udajesz kogoś innego niż jesteś!”. Schwarzeneggerem nigdy nie byłem i nie będę, więc zostanę takim typem, jakim jestem. Jeżeli blondyn ufarbuje włosy, to nie stanie się brunetem, tylko jest przefarbowanym blondynem. Czyż nie lepiej zaakceptować siebie takiego, jakim stworzyła mnie natura?

**Czy w tak wypełnionym i skoncentrowanym na sztuce życiu jest miejsce na uczucie, miłość, więcej – na szaleńcze zakochanie?**

Jestem już starszym panem, absolutnie wypranym z kompleksu Fausta. Kochałem się raz nieprzytomnie jeszcze w szkole i potem drugi raz zakochałem się w mojej żonie, a potem żyłem po bożemu w sposób, który uszczęśliwiłby zapewne kardynała Glempa. Nie znaczy to, że nie miałem wyobraźni seksualnej, bo tej miałem i mam aż za wiele, ale moje wyobrażenia, a były i są to wyobrażenia skrajnie masochistyczne, zawsze były tylko

wyobrażeniami, gdyż były niemożliwe do zrealizowania. Jakakolwiek myśl o inscenizacji przy pomocy osób trzecich, co proponowali mi rozmaici miłosierni Samarytanie i Samarytanki, była tak porażająco komiczna, że nigdy do tego nie doszło.

Rzecz w tym, że gruczoły dojrzewają o wiele wcześniej niż umysł. Nasza wyobraźnia seksualna powstaje i petryfikuje się w interwale między 10 i 14 rokiem życia, w zależności od tego, co się wtedy czyta, i co się wtedy rozumie z tego co się przeczytało; niestety zostaje nam to jako archetyp na całe życie.

Nie wstydzę się swoich seksualnych zachcianek, ale potwornie wstydzę się ich literackiego infantylizmu. To, co człowiek sobie wyobraża, nie wywołuje zawstydzenia, ale to co próbowałbym zrealizować, byłoby wręcz żenujące.

**Miłość uskrzydla czy obezwładnia?**

Z wyżyn własnego cynizmu mogę powiedzieć, że miłość przede wszystkim zabiera czas, a czasu mam coraz mniej. Poza tym jako sytuacja interpersonalna wiąże się z odpowiedzialnością, a jako człowiek zdominowany od dzieciństwa przez kompleks winy, cholernie nie lubię ponosić odpowiedzialności. Gdy tylko miłość pojawia się na horyzoncie, postrzegam ją jako zagrożenie.

**Czego jeszcze pan się w życiu obawiał? Pana obrazy są przesiąknięte lękiem...**

Lęk lękowi nierówny. Co innego lęk przed ośmieszeniem, a co innego lęk przed nieistnieniem. Nie wspominał już o lęku przed dentystą, ale niewątpliwie odczuwałem i odczuwam te trzy lęki i jeszcze wiele innych. W dzieciństwie bałem się duchów i nigdy nie sądziłem, że na starość, zamiast lęku, odczuwać będę żal za nimi.

Chyba najbardziej lękam się nieistnienia i dlatego nie „kupiłem” nigdy buddyźmu. Rzeczywistość, w której istnienie właściwie nie wierzę, traktując ją po buddyjsku jako



złudzenie, jest jednak czymś, z czym najtrudniej będzie mi się rozstać. Może na starość lęk przed nieistnieniem, który prześladował mnie przez całe życie, zaczął być wypierany przez lęk przed umieraniem, które staje się coraz bardziej realne, gdy widzę, jak wymiera moje otoczenie, jak pogrążają się w starczej sklerozie moi kumple, jak seksowne panienki przemieniały się w pokurczone staruszki. Łamią się kości biodrowe, pękają naczynia w mózgu... Na szczęście dużo gorzej byłoby, gdybym to tylko ja sam musiał umrzeć, a inni mieliby zagwarantowaną wieczność. Ta pewność, że wszyscy przejdziemy do następnej klasy z oceną pięć z plusem albo minus trzy i nikt nie będzie repetować, jest w dużym stopniu pocieszająca. Taka ze mnie egoistyczne świnią!

**Większość ludzi robi coś, bo musi. Także artystów gonią terminy wystaw, premier. Wielcy malarze również pracowali na zamówienie – Rembrandt, Michał Anioł. Czy pan nie potrzebuje takiego dopingu?**

Niczego bym nie zrobił pod przymusem, cierpię na rodzaj nerwicowej impotencji. Najbardziej cenię sobie luz. Jeśli ktoś ode mnie wymaga namalowania czegoś konkretnego, będę robił wszystko, tylko nie to. Tomasz Mann określał siebie jako urzędnika od sztuki. Widzę pewne podobieństwo. Wstaję o 8 rano i zabieram się do roboty, ale robię to, co chcę.

**Powiedział pan nawet kiedyś: „Nigdy w życiu nie namaluję niczego, co mi się samo nie namaluje”.**

Tak, chyba że znalazłbym się całkowicie bez środków do życia i jedynym ratunkiem byłoby namalowanie czegoś, co mi się samo nie namaluje. Tylko że to nie byłaby już twórczość, lecz praca etatowa. Tonący brzytwy się chwyta, ale Bogu dzięki jakoś przekroczyłem siedemdziesiąt jeden, więc może jeszcze uda mi się te parę lat pożyć, bawiąc się a nie pracując. Tak jak mówił Ryszard Strauss przed śmiercią, gdy pytano go

nad czym pracuje: „Ja nie pracuję – ja się bawię”. Fajne rzeczy mu z tej zabawy wyszły. Myślę o „Czterech ostatnich pieśniach” i o „Metamorfozach”. Może i mnie się uda.

**Co jest najbardziej przykre w pracy, czego pan nie lubi?**

Oczywiście, jeżeli obraz nie wychodzi. Kiedy człowiek robi drugi, trzeci i myśli: „Boże, co za szajs, nie idzie mi”. Pojawia się obawa, że może już nic więcej nie namaluję, może straciłem talent. Potem coś się udaje i wszystko wraca do normy. Z kolei ludzie, którzy oceniają obrazy, bardzo często ten nieudany traktują jako najlepsze osiągnięcie, a tego, z którego jestem dumny, nikt nie zauważa.

**A co pan robi, jeśli nie wychodzi? Czy zdarzyło się panu pociąć obraz na kawałki, ciskać pędzlami?**

I nie tylko! Deptałem po nim nogami i tańczyłem jak bogini Kali na trupie! Bardzo rzadko ogarnia mnie furia, ale jak już ogarnie, to potrafię dać czadu!

**W pana obrazach często pojawia się śmierć, wizje ostateczne, zdeformowane twarze i ciała. Dlatego też traktowano pana jako artystę, który jest wtajemniczony, wie więcej. Dziennikarze pytali, jak i po co żyć, a pan trywializował, mówił o kresce i fakturze.**

To jest trywializacja? To są podstawowe sprawy w malarstwie. Kształt, forma, faktura, sposób kładzenia farby są najbardziej istotne w obrazie. Tak aby to, co zostało namalowane – twarz, ręka, drzewo od razu wskazywało na tego, kto to namalował. Jeśli z każdego wartościowego obrazu weźmiemy nawet mały fragment, możemy powiedzieć: to forma stworzona przez tego, a tego malarza i zazwyczaj także, co wart jest cały obraz. Ponadto – przyznaję, trudno jest odpowiadać na pytania ostateczne, nie powtarzając tego co inni, lepsi ode mnie powiedzieli. Obawiałem się, że siłą rzeczy zacznę cytować.

Obrazy jednak nie mają na celu udzielania odpowiedzi na tematy ostateczne. Mówiąc nieskromnie: mają na celu zachwycić! Poruszyć, ale nie tym co rzekomo przekazuję, bo niczego nie przekazują, lecz po prostu poruszyć sobą, tak jak porusza nas widok wodospadu, potęga gór, nieskończoność kosmosu. Oczywiście toutes proportions gardées. Tak jak porusza nas muzyka!

### **Które przeżycia są najbardziej inspirujące?**

Wszyscy mamy podobne inspiracje, bo gdy zaśniemy mamy sny. W każdym z nas istnieją potencjalnie pokłady inspiracji, ale dla mnie ważniejszy jest własny styl. W zasadzie maluję tematy stereotypowe i to stanowi zaledwie pretekst. Ponieważ odchodzę od rzeczywistego przedstawiania przedmiotów, im bardziej stereotypowy temat i układ, tym bardziej skomplikowana może być forma. Jeżeli bym malował coś, czego wygląd nie jest powszechnie znany (na przykład płytę główną komputera z procesorem Pentium III w ujęciu i oświetleniu skrajnie nietypowym) musiałbym rzecz namalować bardzo

realistycznie, żeby była czytelna. Jeśli maluję głowę mężczyzny lub drzewo widoczne en face i na środku obrazu, temat jest na tyle banalny i powszechny, a kompozycja na tyle prosta, że pole do manipulowania formą, aby przy odbiorze nie zginęła tożsamość tematyczna – a to przede wszystkim mnie pociąga – niesłychanie się poszerza. Im bardziej skomplikowane wariacje, tym prostszy musi być temat. Innej drogi nie ma.

**Dlaczego ostatnio zajął się pan grafiką komputerową. Według obiegowej opinii, na komputerze pracują artyści najślabsi, którzy w inny sposób nie mieliby nic do powiedzenia. Po prostu nie potrafią malować.**

Zdaje się, że jest to opinia wypowiedzana przez osoby, które nie mają pojęcia o komputerze i pracy na nim. Wyobrażają sobie, że jest to urządzenie magiczne, które wszystko potrafi.

**Czy pan nie przesadza? Komputer jest teraz w każdym biurze.**

Oczywiście, ale jest wykorzystywany w bardzo wąskim zakresie: wykaz magazynowy, lista płac. Przeciętni ludzie mają o nim i jego możliwościach wyobrażenie bardzo nieostre.

Wracając do pytania: Ja nie robię grafiki komputerowej i nie chcę, by uważano, że stroję się w cudze piórka. W grafice komputerowej konieczny jest specyficzny sposób działania i specjalne programy. Ja natomiast za pomocą komputera robię fotomontaż ze zdjęć fotograficznych, które wcześniej wykonam aparatem konwencjonalnym lub cyfrowym.

**A skąd ta pasja? Z lenistwa, nudzi się panu malowanie?**

Ależ to wcale nie jest łatwiejsza praca. Nie wiem jak dla innych, ale dla mnie trudności jest znacznie więcej niż przy malowaniu. Namalować mogę każdą rzecz, natomiast tu

muszę operować tym, co udało mi się sfotografować. Mogę tym manipulować, deformując kształt, kolor, rozmiar i fakturę, ale tylko w pewnym zakresie. Podczas malowania obrazu nic mnie nie ogranicza. Komputer jest zupełnie odmiennym narzędziem pracy. Za jego pomocą mogę uzyskać inne efekty.

**Sądząc z opinii zamieszczanych na stronach www, pańskie prace „wystawione” w Internecie bardzo się podobają.**

Znajoma obejrzała moje prace komputerowe, podobno podobały jej się, ale wychodząc powiedziała: „Wiesz, będę się musiała kogoś zapytać, czy to ma wartość artystyczną”. Wszystkie liście ze mnie opadły. Czymże jest w jej pojęciu ta „wartość artystyczna” i ktoś niby miałby być tym Autorytetem, który mógłby coś takiego potwierdzić!

**Zapewne trudno sprzedać komputerowe dzieło...**



Nawet nie o to chodzi. Byli chętni, ale nie wyobrażam sobie, według jakich zasad mam to sprzedawać, nie chcę, żeby ktoś marudził, że kupuje zmontowaną fotografię, a nie rękodzieło. Mam za co żyć, nie muszę koniecznie sprzedawać. Sprzedawali to organizatorzy wystaw, by sobie pokryć koszty wydruku, które są niemałe, a ja podpisywałem to nie numerując, na zasadzie autografu.

**To dlaczego pan się tym trudzi?**

Jak to dlaczego? Dla przyjemności! To potężny bodziec!

**Ale nie tęskni pan za zapachem farb, tradycyjnym procesem tworzenia?**

Po prostu nie dzielę narzędzi na tradycyjne i nie tradycyjne. Kiedy już od kserokopiarek nie mógł zawalić się najlepszy ustrój świata, bo leżał na obu łopatkach, mogłem nareszcie kupić sobie bez zezwolenia z milicji kserokopiarkę, gdyż podobnie jak w przypadku

komputera, widziałem w niej narzędzie pracy artystycznej i od dawna o niej myślałem. Wiedziałem, że mogę coś namalować, odbić, zamaskować część plakatówką i coś dorysować, znów odbić, znowu zamaskować i znowu odbić. W ten sposób zyskiwałem bogatsze możliwości kreatywne. Ale zaraz Dmochowski i inni zaczęli marudzić, że to nie jest tradycyjne, szlachetne narzędzie.

A co to znaczy szlachetne narzędzie? Czy kserokopiarka musi odczekać sto lat, aby się uszlachetnić? To absurd. Dlaczego litografia jest szlachetna, a kserokopia nie? To są jakieś kretyńskie uprzedzenia.

**Czy to wykorzystywanie różnych technik, nie jest wynikiem tęsknoty za filmem? Pan przecież chciał być reżyserem i tylko chęć sprostania wymaganiom ojca sprawiła, że studiował pan architekturę?**

Pewnie bym został reżyserem, tylko wtedy, po 1948 roku, zapanował stalinizm i możliwości kreatywne stały się żadne. Poza tym mam naturę człowieka, który lubi pracować sam, bez zobowiązań. Na zawód i rolę reżysera patrzyłem zaraz po wojnie, z naiwnością szczeniaka, który chce kręcić filmy. Myślałem, że reżyser jest Bogiem- teraz widzę, że jest petentem, który musi najpierw znaleźć sponsorów, przekonywać ich do swojej wizji, potem aktorów, którzy akurat w niczym innym nie grają. To po prostu menedżer, który zaledwie końcówkę czasu jest w stanie poświęcić na kręcenie filmu, większość czasu zaś zajmuje mu pokonywanie oporu materii... Dlatego cieszę się, że nie zostałem reżyserem, nie miałbym do tego cierpliwości.

**Powiedział pan kiedyś: „Śmierć jest czymś, co wyznacza sens naszego istnienia. Jeśli nie zdobędziemy się na jej osvajanie za życia, trudniej będzie pogodzić się z tym, że przyjdzie i po nas”. Czy oswojenie śmierci, to zadanie na miarę człowieka?**

Nie sędę, że śmierć można jakoś oswoić, nie przypominam sobie, żebym coś takiego powiedział, ale spotykałem się z podobnymi opiniami wypowiedzianymi w moim kontekście przez psychiatrów czy krytyków sztuki. Niewątpliwie jestem zafascynowany i przerażony śmiercią, ale nie sędę, abym ją oswajał. To wreszcie nasza wspólna kondycja i każde gadanie będzie tylko mnożeniem komunałów.

Był nurt, z którym byłem przez jakiś czas silnie stylistycznie związany – malarstwo manierystyczne, secesja, Wiedeń. W końcu pochodzę z Galicji. To był ten okres, kiedy w moich obrazach były czaszki, węże, ale one miały raczej charakter stylistyczny. W okresie manieryzmu te wszystkie rzeczy występowały w kościołach i na rozmaitych portalach. Przez jakiś czas to mnie fascynowało, coś z tych fascynacji zostało do dnia dzisiejszego, ale miałem też zainteresowania przeciwstawne, na przykład sztuką romańską.

**Jednak popularność przyniosła panu treść obrazów, poruszająca sprawy ostateczne.**

Ludzie pamiętają mnie zawsze z tego okresu, kiedy malowałem obrazy manierystyczne. Ale od połowy lat osiemdziesiątych zacząłem od tego odchodzić. Jednak pochwały i nagany zbieram ciągle za tamten okres. Inne moje okresy, w których byłem i abstrakcjonistą, i fotografem, a także to co obecnie robię – nie za bardzo są znane publiczności i krytykom.

**„Polski Bosch”, „Dostojewski komiksu”, „Malarz snów”. Która z tych etykietek jest panu najbliższa?**

Nie lubię etykietek i nie sędzę, żeby któraś z nich była odpowiednia. Nieustannie porównywano mnie z Boschem i Linke, tak jak by Linke był podobny do Boscha, a Bosch i Linke do mnie. Oczywiście, jeśli się patrzy z pozycji Eskimosa, to wszyscy Murzyni są do siebie podobni, a ja jestem jednym z Murzynów, rzekomo podobnym do innych. Ale między nami Murzynami widzę kolosalną różnicę. Wręcz przepaść. Widzę

podobieństwa do innych malarzy, oni zapewne na mnie wpłynęli, ale to nie są podobieństwa podane na łopacie, zauważalne na pierwszy rzut oka. Na przykład bardzo wiele zawdzięczam Tadeuszowi Brzozowskiemu, rzeźbom Moore'a, swojego czasu byłem zależny od Wojtkiewicza i Aleksandra Gierymskiego. Tych podobieństw jednak nikt nie dostrzegł.

*Zdzisław Beksiński nigdy nie zabiegał o popularność, nie bywał na wernisażach i wystawach. Jako jeden z nielicznych współczesnych malarzy trafił do kultury masowej. W latach 80. marszandem Beksińskiego został wielbiciel jego twórczości, z wykształcenia prawnik, Piotr Dmochowski. Otworzył w Paryżu galerię promującą przede wszystkim sztukę Beksińskiego, ale w zamian żądał wyłączności zarówno na sprzedaż, jak i wystawianie dzieł. W latach 90. współpraca została zerwana. Od tego czasu Beksiński miał wiele wystaw w*

*kraju.*

*Ostatnio największy rozgłos przynoszą mu prace komputerowe. W listopadzie 1999 roku jednocześnie w sześciu galeriach – w Gliwicach, Poznaniu, Warszawie, Szczecinie, Kluczborku i Miechowie – otwarto wystawy jego grafik komputerowych. Wszędzie prezentowano te same prace – 37 odbitek. W niektórych galeriach można kupić także obrazy Zdzisława Beksińskiego.*

*Autorka jest dziennikarką tygodnika „Wprost”. Wywiad autoryzowany w listopadzie 2000 roku.*